

Rafał Mikołaj Krasucki

## Jak zabija się świnie?

Poranki są tutaj... najszlachetniejsze. Nawet bym powiedział, że mają wiele wspólnego z kryształem, szczególnie wtedy, kiedy jest mróz. Nieruchoma, powleczone szronem jak jasną glazurą przestrzeń. Idealnie proste świerki, potężne, stare dęby, których rozszczepione przez błyski słońca gałęzie nie rzucają cieni. Cała Puszcza Białowieska wydaje się wtedy, jakby czekała na wiatr. O, tak. Poranki bywają tutaj wyjątkowe.

Przez podwójne, drewniane okno wpadał biały snop światła. Nie mam pojęcia dlaczego, ale zawsze zwracam na to uwagę, na sposób, w jaki się rozprasza. Jest w tym coś nieobojętnego, zwarte, ostrego. Iluminacja dnia. Snop światła, wycelowany w białą pościel i w jej wystającą prawą nogę. Zupełnie tak jakby to wszystko miało się ze sobą w naturalny sposób połączyć i tak trwać. Jeżeli teraz byłbym pijany, to pewnie chciałbym jej dotknąć i sprawdzić, czy jest naprawdę, czy istnieje, a że byłem trzeźwy, przyjąłem to za pewnik.

Taki widok eliminuje z człowieka niepewność, zaprzecza pustkę i jest w stanie doprowadzić do szaleństwa. Wyjęte spod koldry kolano z miękką skórą, ubrane w białe światło jak w ciepły sen. Tu na wschodzie ludzie czasami mawiają, że takie widoki diabeł maluje i może coś w tym jest.

- Zgaś światło – powiedziała cicho.
- Już jest dzień – odpowiedziałem jeszcze ciszej.
- Nie kłam. To nie może być prawda.
- Prawda, prawda, ale jeszcze śpij.

Paradoksalnie mógłbym zabrać tutaj wszystko, co mam, lub mógłbym nie zabierać nic i nadal nie czułbym potrzeby posiadania czegokolwiek. Z uporem godnym psychopaty wmawiałem sobie przez wiele lat, że ten liczebnik nieokreślony – niewiele – pozwala mi czuć się bezpiecznie. Wyzbycie się tych wszystkich procedur poprawnego życia, donosów na samego siebie, że samotność wypala do głębi, pozwoliło mi konsekwentnie wierzyć w to, że tak jest lepiej. Chyba nigdy nie chciałem trwałości, tej korelacji marzeń z bytnością. Krótkotrwałe, aczkolwiek brutalne wykorzystywanie liczebnika „niewiele” doprowadzało mnie wielokrotnie tam, gdzie niewiele było potrzeba, żeby się zakochać, żeby mieć pieniądze lub też żeby wszystko stracić. Być

może wiara w to, że doraźne zaspokajanie swoich potrzeb jest właściwe, w absurdalny sposób przyciągnęła mnie właśnie tu. Nie miewam już skłonności do nadużywania liczebnika „niewiele”, pewnie dlatego że „niewiele” jest tu sensem życia, a nie jego alternatywą. Chyba nie ma najmniejszego powodu, aby się oszukiwać lub być kimś, kim się nie jest. W sumie tak niewiele potrzebowałem, żeby dowiedzieć się, jak łatwo być szczęśliwym.

Właścicielem domu był Witalij Iwanowicz. Miejscowi wołali na niego Witek, ale ja jakoś nigdy nie mogłem się przemóc. To byłoby dziwne, jakby ktoś się do mnie zwracał: Oleg, Dymitr czy Bóg raczy wiedzieć jak. Przecież on się tak nie nazywał. Witalij nie zwracał na to uwagi, ale zauważyłem, że kiedy ze mną rozmawia, używa więcej rosyjskiego niż polskiego. To mi się zawsze podobało, bo czułem się trochę tak, jakby traktował mnie jak rodzinę. Ja do niego Witalij, Witalij, a on do mnie: – No, Fryderk, pajdziom pohulać czemergies pa ciut, ciut. Sam czasami się śmiał, wspominając, że rodzice dali mu na imię po jakimś ruskim wynalazcy, który przyczynił się do rozwoju kolejnictwa w ich niezwykłym kraju. Ten sam wynalazca zginął w absurdalny sposób, bo podobno zadławił się ością ryby. Witalij zawsze podkreślał, że ryby są dla świń, a nie dla ludzi. Od tego można przecież umrzeć. I faktycznie nigdy nie widziałem, żeby Witalij jadł ryby. Ten prawie siedemdziesięcioletni facet przyjechał do puszczy w latach sześćdziesiątych. Ożenił się z córką sołtysa i razem z nią, i to dosłownie, zbudował ten dom. We dwoje ścinali drzewa, suszyli, ciosali i ukończyli budowę po dwóch latach. Niby nic w tym nadzwyczajnego, ale dom był naprawdę duży, masywny, postawiony na fundamentach z kamieni. Oddalony od innych zabudowań o jakieś dwa kilometry, przypominał leśniczówkę lub też zabytek, ponieważ jego okiennice, okna i ganek były bardzo bogato zdobione. Ręcznie rzeźbione w roślinne ornamenty, sylwetki zwierząt, scenki rodzajowe z życia puszczy. Zawsze robiło to na mnie wrażenie, bo rzadko się zdarza, aby ktoś tak konsekwentnie zadbał o szczegóły, estetykę i nie pominął przy tym funkcjonalności rzeczy. Jak się coś otwiera, to i musi się zamknąć; jeżeli na czymś siadasz, to musi wytrzymać,



Julia Borowska / PLSP w Supraślu

a jeżeli na to patrzysz wystarczająco długo, to musi ci to coś przypominać. Witalij i jego żona o to zadbali.

Zawsze kiedy tu nocuję, tracę poczucie tego, gdzie jestem, nie dostrzegam, czy to las wszedł w ten dom, czy dom w las. Jednolita masa pachnąca drewnem, wilgocią, zapadająca się w pozorną ciszę, bo wokół nadal jest dużo dźwięków: na przykład takich jak wycie świni.

Witalij podszedł do mnie z tyłu i położył rękę na ramieniu. Miał założone grube dwupalczaste rękawice uszyte ze skóry. Pchnął mnie do przodu i powiedział:

– Idziemy, Fryderyk.

– Gdzie?

– Do stodoły.

– Witalij, no co ty... – zażartowałem, ale on był bardzo poważny. Dziwnie poważny.

– Musisz mi pomóc.

– W czym? Coś ty taki tajemniczy?

– Musimy zabić świnię.

Zacząłem się śmiać, ale chyba z nerwów, ponieważ Witalij powiedział to bardzo stanowczo.

– Chyba oszalałeś. Ja nie mam zielonego pojęcia, jak zabija się świnię.

– Nie ma w tym nic trudnego. Przytrzymasz ją, żeby nie uciekła, i załatwimy to szybko. Dostanie obuchem i będzie po wszystkim.

W stodole faktycznie stała świnią, przywiązana do metalowej felgi. Stała ze spuszczoną głową, jakby wiedziała, co się za chwilę stanie. Witalij wręczył mi gruby sznurek.

– Zwiąż jej tylne nogi. Tylko mocno. Potem się odsuń i trzymaj ją.

Tak też zrobiłem. Zawiązałem świnię, odsunąłem się i w tym momencie zaczęła się potwornie szarpać. Panicznie. Pewnie dlatego, że Witalij podszedł do niej z siekierą. Zwierzę zaczęło piszczeć; nawet nie wiedziałem, że potrafi tak głośno, z tak wielkim żalem.

– Nie powinieneś jej tutaj przywozić.

– Cholera jasna... kogo?

– Jej.

Nie zrozumiałem.

– Tej żeńszcinu.

W tym momencie zdałem sobie sprawę, że stojąc z uwiązaną świnią na środku stodoły, Witalij ma do mnie pretensje o coś, co według mnie nie było niczym poważnym.

– A to dlaczego?

– Patamu szto ana nie twaja.

– Ale to chyba nie powinno nikogo obchodzić. – Świnia silnie mną szarpnęła, ja nią też. Przewróciła się na bok.

– Daj mi sznurek i bierz siekierę.

– No co ty, Witalij!

– Teraz jest dobry moment, bo się nie podniesie. Bierz siekierę i uderz ją w środek głowy. Między uszy. Szybko.

– Nie ma mowy. Ja tego nie zrobię!

– Bierz siekierę – powiedział. Bierz... blać suka... bierz!

Podniosłem narzędzie do rąbania bardzo szybko. Siekiera była ciężka. Witalij patrzył mi się w oczy i machnął do mnie głową.

– No, odważnie. Dawaj!

Zamachnąłem się i uderzyłem z całej siły. Świnia przestała się drzeć, a Witalij wyciągnął z kieszeni nóż. Jeden ruch i z szyi trysnęła ciemna krew. Po chwili zwierzę przestało się ruszać.

– Kurwa, Witalij, co to było? Po co kazałeś mi to zrobić?

– Moja Anka by ci tego nie wybaczyła, tej kobiety.

– Ale Anki nie ma, a tobie od tego bimbru chyba się coś poprzestawiało. Może ty zwariowałeś i zaraz z tej siekiery zrobisz jeszcze raz użytek. Po co to było?

– Żebyś wiedział.

– Co? Jak zabija się świnię?

– Żebyś wiedział, jak to jest zabrać komuś coś, co kocha.

\*\*\*

Lena leżała do połowy odkryta. Jej drobne ramiona zniknęły w wielkiej poduszce, jakby się zanurzała w miękkim, pierwszym śniegu. Na podłodze leżał jej sweter, w którym wczoraj w nocy przyszła do łóżka. Był kremowy, gruby, taki jak sprzedają górale na Krupówkach. Wyglądała niczym ostrzyżona do połowy owca. Zakręciła się kilka razy na pięcie, lewą ręką lekko podciągnęła wełniane okrycie i zapytała:

– I jak? Podoba ci się mój nowy sweter?

Nie wiedziałem, co mam jej powiedzieć, ale to był najpiękniejszy sweter, jaki kiedykolwiek widziałem.

Kiedy tak się na nią patrzyłem, podniosła głowę i obróciła się na plecy.

– Co się stało? Błady jesteś. Zmarzłeś czy już piliście?

– Nic, nic się nie stało.

– Przecież widzę, że jednak coś z tobą nie tak.

– Zabiliśmy z Witalijem świnię.

– Co takiego?

– Zabiliśmy świnie. Znaczący Witalij zabił... ja tylko trzymałem sznurek.

– Boże, ty byś tego chyba nie zrobił?

– Przecież wiesz, że bym nie zrobił.

– Po co mu martwa świnia?

– Lena, pomyśl, po co komu na tym końcu świata martwa świnia. Zaraz ją pewnie przerobią na wędliny. Chyba po to się hoduje świnie.

– Biedna. I ty na to patrzyłeś?

– To naprawdę nic strasznego. Normalna rzecz tutaj.

– Ja uważam, że tego powinni zabronić, biedna świnka.

– Musimy stąd zaraz wyjechać. Znaczący ty musisz...

– Dlaczego? Mieliśmy zostać do niedzieli? Tu jest tak... wyjątkowo.

– Musimy wyjechać, bo Witalij będzie miał gości, więc wstawaj i się zbieramy.

– Wiesz co? Jak ty niewiele potrzebujesz, żeby wszystko zepsuć. Świni się przestraszyłeś?

– Nie, nie świni.

– Witalija? – Przekręciła głowę w kierunku ramienia.

– Nie. Raczej tego, że mógłbym już tutaj nigdy nie wrócić.

## RAFAŁ MIKOŁAJ KRASUCKI

– dziennikarz, z wykształcenia politolog. Przez ostatnie lata zastępca redaktor naczelnej ogólnopolskiego miesięcznika „Benefit”, obecnie Kierownik Hali Kultury w Łomży. Zwycięzca pierwszego konkursu poetyckiego im. Jana Leończuka. Pasjonat poezji, podlaskiej przyrody oraz wędkarstwa.



fol. prywatne archiwum autora